

BESTSELLEROWA AUTORKA WALL STREET JOURNAL | USA TODAY

JAYMIN EVE

SHADOW BEAST SHIFTERS TOM PIERWSZY

ODRZUCONA



JAYMIN EVE

ODRZUCONA

SHADOW BEAST SHIFTERS, TOM I

TEUMACZENIE
MARCIN A. DOBKOWSKI





Z popiołów narodzi się feniks.

Ponownie przeczytałam ten wers mojego ćwiczenia w college'u. To fragment pierwszego dużego zadania z angielskiego w tym roku, czyli szczegółowej analizy powieści, niestety niepozbawionej poważnych wad. Przede wszystkim ciągle korzystanie z alegorii, by nadać narracji „głębszy sens”, doprowadzało mnie do szału. Nie wspominając już o stylu. Nie zrozumcie mnie źle, gdyby historia była ciekawa, zachwycałabym się mistrzowskim użyciem słów, zdaniami pełnymi lekkości i emocji, sprawiającymi, że moje serce bije szybciej, a myśli pędzą jak szalone. W tym wypadku raczej miałam ochotę krzyknąć, aby autor w końcu doszedł do pieprzonego sedna.

Mama zawsze mówiła, że nie mogę być jej dzieckiem, ponieważ ona narodziła się z gwiazd i promieni księżyca, a ja z faktów i liczb. Cokolwiek to, kurwa, znaczyło. Prawdopodobnie tyle, że jej spodobałaby się ta historia z angielskiego; oczywiście, gdyby akurat nie była pijana. X Nie dano mi jednak wyboru, musiałam przeprowadzić analizę. Łatwiej mi

się pisało, kiedy czułam się zainspirowana; tutaj natchnieniem okazała się właśnie ta linijka tekstu. Krążyła mi po głowie bez przerwy, cały dzień zajmując myśli, a to pewnie dlatego, że niczego bardziej bym nie chciała, niż narodzić się z własnych popiołów.

Miałam dwadzieścia dwa lata, byłam studentką ostatniego roku, urodziłam się w najpotężniejszej watasze zmiennokształtnych na świecie. Życie powinno być usłane różami. Albo skąpane w blasku gwiazd i księżyca... jeślibym zamierzała określić to jeszcze dosadniej. I może by tak było, gdyby drogi ojczulek, Lockhart Callahan, nie zdecydował się zginać, rzucając wyzwanie alfie, przez co uczynił swoją rodzinę *persona non grata*. Znaczyliśmy w watasze mniej niż nic, a byliśmy tu nadal jedynie z powodu przeświadczenia mojej mamy, że znany wróg jest lepszy niż próba przetrwania jako samotne wilki. Fakt, co do którego żywiłam poważne wątpliwości.

– Mera!

Pijacki krzyk matki przypomniał mi, że dziś rano powinnam jej unikać. Chciała pieniędzy, a moje ciężko zarobione oszczędności pozostawały ukryte nie bez przyczyny. Postanowiłam, że gdy tylko po raz pierwszy się przemienię i zyskam kontrolę nad swoją wilczycą, wyjeżdżam stąd w cholerę.

Jeszcze tylko kilka tygodni.

Wszyscy zmiennokształtni przemieniali się po raz pierwszy podczas pełni księżyca w trakcie zimowego przesilenia w swoim dwudziestym drugim roku życia. Był już listopad, w zeszłym miesiącu niepostrzeżenie skończyłam dwadzieścia dwa lata, więc już niedługo będę mogła uciec z tego pieprzonego miasteczka.

Włożyłam sfatygowany tablet do zdezelowanego plecaka, którego szelkę zarzuciłam na ramię, po czym wyskoczyłam

przez okno i z gracją wylądowałam na ziemi. Mieszkałyśmy w dwupokojowym mieszkaniu w centrum Tormy, miasta na skraju gór Santa Cruz w Kalifornii. Miasteczko stanowiło własność watahy. Nasz alfa był alfą wszystkich amerykańskich watah, a to czyniło nas najlepszymi.

Oczywiście według tego pompatycznego dupka.

Dla mnie Torma przeobraziła się w piekło na ziemi i nie mogłam się doczekać, aż ją opuszczę.

Kierując się w stronę college'u, ścisnęłam szelkę plecaka i opuściłam głowę, żeby nie przyciągać uwagi. Ulubiona ofiara watahy nie powinna się rzucać w oczy. Nie wychylaj się! Przeżyj! Przetrwaj jeszcze jeden miesiąc.

I powstań z popiołów!



W Tormie funkcjonowała wyłącznie jedna szkoła. *Szkoła watahy*. Od żłobka aż po studia. Nigdy nie opuściłam tego miasta. Uzyskanie pozwolenia na wyjazd było wyzwaniem samym w sobie. Uczęszczałam więc do szkoły watahy od samego początku.

Po wszystkich spędzonych tu latach miałam tylko jedną przyjaciółkę.

– Hej, laska! – zawołała Simone, gdy minęłam główną bramę i szłam ścieżką otoczoną klombami kwiatów.

– Hej, Sim – odpowiedziałam, zatrzymując się obok niej. – Widzę, że nadal walczysz z tym warkoczem.

Simone miała niesamowite włosy. Proste, sięgające aż do pasa, gęste i tak ciemne, że w słońcu wydawały się prawie niebieskie. Uwielbiała eksperymentować z różnymi fryzurami, a od kilku tygodni próbowała zapleść idealnego dobieranego kłosa. Słowo „próbowała” najlepiej oddawało sytuację.

– Dlaczego, do diabła, to jest takie trudne? – Jej twarz wykrzywił grymas irytacji, kiedy wskazała miejsce, w którym

większość kosmyków już się poluzowała. – Oglądam filmiki w sieci i te suki zaplatają sobie warkocze aż do tyłka w jakieś pięć sekund. I to jedną ręką, bo drugą nagrywają! Na miłość boską! Jak dla mnie totalna ściema.

– Nie poddawaj się. – Parsknęłam śmiechem; cała ja, jak zwykle subtelna. – Zdecydowanie wychodzi ci to coraz lepiej – dodałam. Dzięki małym kłamstewkom żyje się milej, prawda?

Nie zatrzymując się, rzuciła mi spojrzenie mówiące: „Wiem, co robisz, ale i tak dzięki, jesteś świetną przyjaciółką”.

Ktokolwiek w tysiąc osiemset czterdziestym siódmym roku zbudował tego architektonicznego potworka, musiał być wyjątkowym zwolennikiem praktycznego podejścia do życia, ponieważ nikt inny nie zaprojektowałby czegoś tak brzydkiego, przysadzystego i przygnębiającego, gdyby nie było to w tamtym czasie najłatwiejsze rozwiązanie. Jedynym elementem, który niewątpliwie zasługiwał na uwagę, były okolone drzewami ogrody pełne kwiatów i ziół, otaczające teren college’u. Kiepska próba ukrycia faktu, że całość powinna zostać zburzona i zbudowana od nowa.

– Nie jestem pewna, czy zdołam tu wytrzymać jeszcze rok – jęknęła Simone, przytykając ciemnobrązowe oczy. – Czy zabranianie nam podróżowania i poznawania ludzi jest w ogóle legalne? Mam dość tych wszystkich dupków.

Nie tylko ona tak się czuła, ale zgodnie z prawem czy nie, nie wolno nam opuszczać Tormy bez pozwolenia. Byłyśmy tutaj uwięzione, z tymi samymi zmiennokształtnymi, z którymi dorastałyśmy. Zmiennokształtnymi, których nienawidziłam.

– Nie robiłabym sobie nadziei na wyjazd, dopóki nie przedziesz przemiany i nie nauczysz się kontrolowania swojej wil-

czycy – przypomniałam jedną z kardynalnych zasad, przytrzymując dla niej szklane drzwi wejściowe.

Sama nigdy bym o takie pozwolenie nie poprosiła, ale Simone, w przeciwieństwie do mnie, miała dobrą pozycję w watasze, jej rodzice byli egzekutorami alfy.

– To prawda – westchnęła przesadnie. – Ale gdy tylko to się stanie, wybieramy się w epicką podróż. Wszystko już zaplanowałam.

Nie miałam serca jej powiedzieć, że wtedy mnie od dawna już tu nie będzie. Urodziny Simone wypadały w styczniu, przez co ominie ją tegoroczne zimowe przesilenie, dlatego musiała jeszcze ponad rok czekać na swoją pierwszą przemianę.

Nie mogłabym tyle zwlekać, a prosić ją, by stała się samotnym zmiennokształtnym... To nie wchodziło w grę. Większość dziczkała w ciągu kilku pierwszych lat, tracąc całkowicie panowanie nad własnym wilkiem, a takie osobniki zawsze były eliminowane przez watahę. Ja byłam gotowa podjąć to ryzyko. Wiedziałam, że i tak mnie uśmiercą, zdziczałą czy nie. To tylko kwestia czasu, więc czemu nie miałabym dać sobie przynajmniej namiastki szansy na przetrwanie w prawdziwym świecie?

– Zatem – powiedziała Simone, szybko zmieniając temat – twoje włosy... Trzeba o nich porozmawiać, okej?

– Cholera, zapomniałam je rozczesać. – Uniosłam rękę, próbując uporządkować stertę siana na głowie. – Musiałam rano szybko opuścić tę norę, to znaczy nasze mieszkanie.

– Słuchaj – spojrzała na mnie badawczo – zwykle się nie czepiam, zwłaszcza biorąc pod uwagę moje własne – machnęła dłonią w stronę swojego „warkocza” – ale dzisiaj masz na głowie coś wyjątkowo niesamowitego.

Do diabła. W pobliżu była łazienka, toteż wśliznęłam się do środka, a Simone podążyła za mną.

Moje włosy były długie i durnowato pofalowane, nie w loki, bardziej w napuszone strąki, przez co nieustannie wyglądały jak rozczochrane. A do tego rude! Byłam jedyną rudowłosą w watasze, co nie ułatwiało wtopienia się w tłum.

– Pozwolisz mi je obciąć? – zaproponowała Simone bezradnie. – Albo Daphne?

– Wiesz, że nie mogę zmarnować pięćdziesięciu dolców na strzyżenie. – Zaciskając zęby, pokręciłam głową.

Wyjęłam gumkę i kilka razy przeczesalam włosy palcami. Simone przyszła mi z pomocą i wspólnymi siłami w końcu je ujarzmiłyśmy.

– To najpiękniejsza barwa, jaką kiedykolwiek widziałam – powiedziała z zachwytem, odgarniając kilka luźnych pasm.

Kolor rzeczywiście wydawał się niezwykły. U nasady głębokoci burgund, stopniowo się rozjaśniał, aż do truskawkowego odcienia blond na końcach. Subtelny i naturalny... i cholernie dziwaczny. Historia mojego życia, naprawdę byłam dziwolągiem. *Dzięki, tato.*

Gdy od strony drzwi dobiegły głosy i kilka studentek weszło do łazienki, zwiałyśmy. Nie mogłam ryzykować zbyt długiego przebywania w zamkniętej przestrzeni, bo skończyłabym dotkliwie pobita. Korytarz był zatłoczony, spuściłam więc głowę i mocno chwyciłam plecak.

– Odrobiłaś zadanie? – zapytałam Simone, która częściowo mnie osłaniała, żebyśmy w spokoju mogły przedrzeć się przez tłum zmiennokształtnych uczniów.

Skinęła głową i jednocześnie westchnęła.

– Chciałabym jednak odzyskać dwadzieścia godzin życia spędzonych na czytaniu tego gówna – stwierdziła. – To było

gorsze niż ta książka o wyspie, gdzie wszystkie dzieciaki zdzi-
czyły i stały się totalnymi dupkami.

– Też mi się nie podobała. – Wzdrygnęłam się. – Zaczynam
myśleć, że nie przepadam za niczym zbyt realistycznym.

– Sądzisz, że to było realistyczne? – Simone mrugnęła do
mnie.

– No trochę mi przypominało funkcjonowanie naszej wa-
tahy – odpowiedziałam, próbując brzmieć obojętnie. Na tyle
nieskutecznie, że Simone uważnie zmierzyła mnie wzrokiem,
zanim potrząsnęła głową.

– Nie będę się z tobą kłócić. To dyktatura, ale tylko w ten
sposób zmiennokształtni nie dziczeją. Potrzebujemy silnego
alfy, inaczej stajemy się samotnikami, a nasze wilki przejmują
kontrolę. – Jej twarz posmutniała. – Nie żebym cokolwiek
o tym wiedziała, muszę przecież czekać jeszcze cały pieprzony
rok na przemianę.

Powiedzieć, że Simone była wściekła, że nasze pierwsze
przemiany nie nastąpią razem, stanowiłoby spore niedopowie-
dzenie. Jednak Prawo Pierwszej Przemiany zostało ustano-
wione przez naszego stwórcę, mroczne bóstwo, które czciliśmy.

Bestię Cienia.

To on stworzył zasady przemiany zmiennokształtnych i nie
dało się ich podważyć. Niektórzy co prawda próbowali, ale
nikt nie był w stanie przejść transformacji wcześniej, tak jakby
proces wilczego dojrzewania wryto w kamieniu. Być może
działo się tak, ponieważ starzeliśmy się wolniej i mogliśmy
żyć o kilkaset lat dłużej niż ludzie. Albo Bestia po prostu
lubił wiek dwudziestu dwóch lat. Nikt nigdy go nie spotkał,
by móc o to zapytać.

– Tak bardzo tego chcę – ciągnęła Simone. – Ale też boję się bólu. Wiesz, jak cierpię, gdy złamię paznokieć, a to będzie jak...

– Złamanie każdej kości?

– Kurde, mogłabyś przynajmniej starać się mnie uspokoić. – Cała aż zadrżała.

– Mnie ból już nie przeraża. – Wzruszyłam ramionami. – Obawiam się tylko, że nie zdołam nawiązać więzi z wilczycą. Co, jeżeli mnie odrzuci?

Jak każda osoba w moim życiu. Tak, wiem, *chlip, chlip*, wszyscy mamy swoje smutne historie.

– Nie zrobi tego – powiedziała stanowczo Simone. – Pokocha cię, będziecie polować razem na króliki i zostanie twoją drugą najlepszą przyjaciółką na całe życie.

Najwyraźniej nikt nie był w stanie zastąpić Simone na pozycji numer jeden mojej najlepszej przyjaciółki, nawet istota, z którą dzieliłam duszę.

– Jestem prawie pewna, że do trzeciej przemiany nauczę się to kontrolować – dodała z przekonaniem. – Naprawdę dam radę.

– Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości – odpowiedziałam całkowicie szczerze.

Podczas pierwszych dwóch przemian nasza ludzka część ledwo cokolwiek pamiętała z czasu, gdy u steru stawał wilk. Większość z nas odzyskiwała kontrolę przy czwartej lub piątej przemianie, ale nie zdziwiłoby mnie, gdyby Simone dokonała tego już przy trzeciej. Była bardzo zdeterminowana.

W każdym razie, gdy tylko zdobędę kontrolę nad swoją wilczycą, miałam zamiar natychmiast uciec z tego cholernego miasta.

I nie zamierzałam wracać.

Kiedy minęliśmy szereg szkolnych szafek, w zasięgu naszego wzroku pojawiła się znajoma grupka, łatwa do wypatrzenia, gdyż wszyscy rozstępowali się przed nimi niczym przed rodziną królewską. Można chyba powiedzieć, że w zasadzie nią byli.

Simone zauważyła ich w tym samym momencie, co ja.

– Zwiewaj! – szepnęła ostro, popychając mnie w stronę najbliższego wyjścia. Za późno, dostrzegli mnie i nie mogłam im uciec. Zwłaszcza dwóm, którzy już przeszli przemianę: Torinowi Wolfe’owi i Jaxsonowi Heathcliffe’owi.

Czemu, do diabła, w ogóle chodzili wciąż do college’u? Skończyli go w zeszłym roku, ale z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu nie mieli zamiaru się z nim rozstać.

– Stój!

Rozkaz padł z ust Torina, przyszłego alfy watahy Torma. Jego ojciec, Victor, rządził nami od pięćdziesięciu lat i nic nie świadczyło o tym, że zamierzał przejść na emeryturę. Natomiast to, że zmienił nazwisko na Wolfe, doskonale pokazywało, jak wysoko cenił siebie i swoją rangę w świecie zmiennokształtnych. Torin, jego jedyny i ukochany syn, był przyszłym alfą. Dzięki swojej pozycji już teraz mógł rozkazywać wilkom w watasze. Nie żeby potrzebował w tym pomocy, zwłaszcza w wypadku wilczyc, które z łatwością ulegały jego jasnozielonym oczom, czekoladowym, ciemnym włosom i silnie zarysowanej szczęce, jakby pochodzącej wprost z romansu. Dla mnie jednak nie był romansem, raczej powieścią grozy, moim najgorszym koszmarem.

Dwójka z ich trójki zbliżyła się do mnie, a mój żołądek zawirował, gdy przygotowywałam się na to, co nadejdzie.

Torin uziemił mnie swoim rozkazem, ale dzisiaj trzymał się z tyłu, pozwalając przyjaciołom się zabawić. Prawdę mówiąc, on nigdy tak naprawdę mnie nie skrzywdził, ale też nie powstrzymywał innych, a to moim zdaniem jest równie złe.

Sisily Longeran, moja rówieśniczka, dziewczyna następcy alfy, zaczęła krążyć wokół mnie.

– Mera Callahan – wycedziła. – Rudowłosa suka z naszej watahy.

Z wielką przyjemnością regularnie podkreślała, że nikt oprócz mnie nie nosił takiego koloru włosów. Reszta watahy mieściła się w spektrum od miodowego odcienia blond po najciemniejszą czerń, z najróżniejszą karnacją. Ja miałam opaloną cerę i orzechowe oczy, podobnie jak wielu pozostałych, ale moje włosy... Były jak cholerny, olbrzymi znak „Stop” obwieszczający moją obecność.

– Sisily Longeran – odparłam. – Partnerka kolejnego alphy. Ty i Torin będziecie mieć takie piękne dzieci.

Miałam na myśli piękne i złośliwe bachory, ale o tym nie wspomniałam.

Uśmiech Sisily się rozszerzył, gdy zbliżyła się do Torina. Razem wyglądali perfekcyjnie, z jej idealną ciemnobrązową grzywą i jasnobłękitnymi oczami, które mocno kontrastowały z jego wyglądem. W momencie jej pierwszej przemiany, po pełni przesilenia, ich spodziewana więź się uaktywni i poczują się połączeni. Nawet partnerstwo było z góry zaplanowane. *Pierdolony cud!* Na mnie też już gdzieś tam czekał przeznaczony mi partner, ale gdyby okazał się nim jeden z dupków z mojej watahy, wołałabym odgryźć sobie rękę.

Sisily, skończywszy flirtować z prawie alfą, wróciła do mnie. Woń perfum z nutą jaśminu i cytrusowca unosiła się

wokół niej, aż z ledwością powstrzymałam mdłości. To był jej firmowy zapach, sporządzony przez Thomasa, mistrza zielarskiego, własnoręcznie przyrządzającego wszystkie nasze kosmetyki, byśmy nie reagowali na ludzką chemię. A ja, kurwa, nienawidziłam tego zapachu tak bardzo, że aż wywoływał u mnie nudności. Tyle dobrego, że przynajmniej zwykle ostrzegął mnie o nadejściu Sisily, dzięki czemu mogłam uciec. Ale nie dzisiaj.

Odsłoniła zęby i warknęła. Wiedziałam, co nadchodzi, przygotowałam się więc, zanim popchnęła mnie na szafki. Cały rząd zadrzał pod wpływem uderzenia, a ból rozszedł się po moich plecach. Zmiennokształtni goili się szybko, ja jednak nie posiadałam jeszcze tej zdolności w pełni. Dopóki moja wilczyca się nie obudzi, musiałam cierpieć i leczyć rany wolno niczym ludzie.

– Jesteś żałosna – syknęła. – Taka słaba.

– O czym ty mówisz? – odparłam, posyłając jej drwiący uśmiech. To, co nazywała słabością, ja określałam *zdolnością przetrwania, dopóki nie zdołam uciec*. Cała wataha przeciwko samotnemu wilkowi? Kto byłby w stanie wygrać w takiej sytuacji?

Na początku stawiałam opór, ale to sprawiało, że bili tylko mocniej. Postanowiłam zatem stać się mentalnie i emocjonalnie silniejsza, zahartować się w ogniu ich nienawiści i czekać na moment, gdy wreszcie będę wolna.

– Zostaw ją w spokoju! – krzyknęła Simone, nie mogąc do mnie podejść, bo Torin blokował jej drogę.

– Spokojnie, Simone – powiedziałam z wymuszoną wesołością. – Sis jest po prostu niezdarna, przyzwyczaiałam się, że się potyka i wpada na mnie.

Warknięcia Sisily stawały się coraz niższe i groźniejsze, ale już dawno przestałam się tym przejmować.

– Zostaw ją! – spróbowała jeszcze raz Simone, choć wolałabym, żeby tego nie robiła. Wielokrotnie jej już tłumaczyłam, że nie ma potrzeby, abyśmy obie stały się ich celami. Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdyby coś jej się stało.

Na szczęście pozycja jej rodziców w watasze chroniła ją przed najgorszym, choć niektórzy i tak znajdowali sposoby, by ją ukarać za trzymanie się ze mną. Była cholernie lojalną przyjaciółką, z pewnością na nią nie zasługiwałam.

– Zamknij się, Simone – odparła Sisily, nawet na nią nie patrząc. – Albo dołączysz do swojej przyjaciółeczki, mieszańca.

– Nie zapomnij o kundlu – rzuciłam, parszkając sztucznym śmiechem. – A w zeszłym tygodniu zostałam też dziwką. Mama jest ze mnie taka dumna.

Zacisnęła dłonie w pięści, szykując się, by ponownie złamać mi nos – jej standardowy numer – ale powstrzymał ją Jaxson Heathcliffe.

Mój ulubiony oprawca.

Mój najstarszy przyjaciel, poza Simone.

Nawet jeśli ostatnio byliśmy raczej wrogami.

– Wydawało mi się, że zakazałem ci przychodzić na zajęcia – wymruczał, pochylając się nade mną i przesuwając palcem po moim policzku. To był delikatny gest, ale mrok kłębiący się w jego oczach koloru kawy świadczył o czymś innym.

– No wiesz, próbowałam – na mojej twarzy pojawił się beztroski uśmiezek – ale nauczyciele mówili: „Oblejesz rok” i „Szukałem rudego futerka do łóżka”, więc stwierdziłam, że to chyba zły pomysł, żeby nie przychodzić.

Dlaczego. Byłam. Taką. Mądrałą?

Ta cecha osobowości kiedyś naprawdę doprowadzi do mojej śmierci. Wcale nie potrzebowałam w tym niczyjej pomocy.

Jaxson popchnął mnie na szafki, ból w plecach nasilił się, lecz nawet nie jęknęłam. Przejechał nosem po mojej szyi, węsząc. Kurwa, wcześniej tego nie wyczyniał, więc zastanawiałam się, czy to będzie moment, w którym dopadną mnie grzechy mojego ojca, a gardło zostanie rozerwane. Kiedy się odsunął, jego oczy błysnęły, na szczęście zdołałam przełknąć kolejny głupi komentarz i zamiast tego skupiłam się na jego twarzy. Zrobiłam buntowniczą minę. Nigdy się przed nim nie ugnę. Nigdy!

Jaxson był przystojny, miał brązową karnację, włosy czarne jak noc i umięśnione ciało, które jasno pokazywało jego siłę. Logiczne, że stał się najlepszym przyjacielem przyszłego alfy. Nawet wyglądali podobnie. Ucieleśnienie męskich zmiennokształtnych, zarówno pod względem alfowatości, jak i urody. Jeśli jednak chodziło o osobowość, to paskudne z nich skurwysyny z małymi fiutami.

– Mój ojciec chciał zabić ciebie i twoją matkę – wymruczał Jaxson, a jego oddech owiał mój policzek.

Usłyszałam o tym po raz pierwszy, więc skoncentrowałam uwagę. Mój ojciec i jego ojciec byli najlepszymi przyjaciółmi, obaj potężni i pewni siebie, drugi i trzeci w kolejce do alfy. To ojciec Jaxsona bez wahania wybebeszył mojego, sekundy po tym, jak ten próbował zaatakować alfę Victora. Bez pytań. Bez procesu.

– Dlaczego nie opuściłaś college'u? – naciskał Jaxson. – Ale tak naprawdę?

– Co się, kurwa, z tobą stało? Przyjaźniliśmy się! – wrzasnęłam, odpychając go ze wszystkich sił, lecz nie ruszając go ani o centymetr.

Kiedy wasi rodzice są najlepszymi przyjaciółmi, to normalne, że dorastacie razem, w swoim towarzystwie. Był dla mnie jak starszy brat, ale gdy mój ojciec zdradził watahę, straciłam wszystko.

Zmiana koloru jego oczu z kawowego na czerń smoły zwiastowała nadciągające zagrożenie. Jego dłoń przeobraziła się w pazury. Przejechał przez moją pierś płynnym ruchem. Rozdarł bluzkę i stanik i zostawił długie czerwone pręgi. Ciął celowo, nikt nie miał takiej samokontroli jak Jaxson. Gdyby chciał przeciąć skórę, zrobiłby to.

– Dlaczego tak mnie nienawidzisz? – zapytałam cicho, zmuszając się do zachowania spokoju mimo pulsującego w piersiach bólu, który dołączył do tego w plecach. – Nie jestem moim ojcem. Dlaczego to ja muszę płacić za jego grzechy?

Ponownie zamachnął się ręką, ale tym razem uderzył obok mojej głowy i wbił pięść w szafkę.

– Nie chcę cię więcej widzieć.

Z ostatnim warknięciem odwrócił się i odszedł. Sisily, uśmiechając się jak zadowolona z siebie suka, ruszyła za nim. Torin zatrzymał się na dodatkową sekundę, a jego oczy spozczęły na moich odsłoniętych piersiach i czerwonych od pazurów pręgach.

– Lepiej się ogarnij – powiedział krótko.

Kiedy zniknęli, osunęłam się po uszkodzonej szafce, krzywiąc się z bólu. Oddech miałam przyspieszony i z trudem walczyłam o panowanie nad sobą. Gdybym już miała w sobie wilczyce, na pewno stałabym teraz na czterech łapach. Wilcze wcielenia były najlepszą formą ucieczki od cierpienia i strachu.

– Chodź – zachęciła łagodnie Simone, ciągnąc mnie za ramię. – Mam twoje zapasowe ciuchy w swojej szafce.

Trzymała je tam, bo przynajmniej raz w miesiącu moją szafkę demolowano na skutek jakichś gówniarskich żartów. Śmieci, farba, krew, flaki, martwe zwierzęta... Nie byli kreatywni, ale konsekwentni.

Dudniło mi w głowie, kiedy podążałam za nią, jedną ręką przytrzymując rozciętą bluzkę. Znajome uczucie wypełniło moje ciało. Uznawałam je za oddzielenie się umysłu od grozy mojego życia. Czasami, gdy było naprawdę źle, widziałam podwójnie, dostrzegałam mrok wypełniający świat. Mrok, który mnie wzywał. Popieprzona psychika stała się moją specjalnością w ostatnim czasie.

– Muszę opuścić Tormę – wymamrotałam, bardziej do siebie.

Simone rzuciła mi współczujące spojrzenie i chwyciła moją dłoń. Słyszała to już wcześniej, nie wiedziała tylko, jak bardzo poważnie tym razem mówiłam. Nie mogłam dłużej tego znieść.

Moja rodzina była w Tormie zhańbiona.

Dziedzictwo moje i moich dzieci, jeśli kiedyś będę je mieć, zostało zniszczone.

Po dekadach biegania z watahą Tormy nazwisko Callahan zredukowało się do dwóch wyrzutków: Mery Callahan, prawie przemienionej zmiennokształtnej, i Lucindy Callahan, pijanej zmiennokształtnej, która ledwo pamiętała, jak się nazywa.

Nie miałam już o co walczyć. Przynajmniej nie tutaj.

Jak dla mnie pełnia księżycy przesilenia mogłaby nadejść jak najszybciej.



Reszta dnia minęła już bez przejść. Ignorowano mnie, co pozwoliło mi dotrzeć na cztery lekcje, oddać wszystkie prace domowe i nawet zjeść w spokoju lunch. Ból w plecach i klatce piersiowej zelżał i gdyby nie wspomnienia ataku, czułabym się prawie normalnie. Niepokój utrzymywał się zwykle dłużej niż cierpienie.

– Wiesz, że Victor nie pozwoli ci odejść – powiedziała Simone, gdy stałyśmy na zewnątrz szkoły, obserwując odjeżdżające samochody. Cotygodniowe spotkanie watahy odbywało się w poniedziałki, więc wszyscy zmierzali do posiadłości alfy.

Nie fatygowałam się, by odpowiedzieć. Nie pierwszy raz o tym dyskutowaliśmy.

– Mera, nikt nie opuszcza watahy Victora! Nie na stałe. Na pewno na to nie pozwoli. Proponuję poprosić o zgodę na wakacje i zobaczyć, jak długo damy radę je przeciągać, zanim każą nam wrócić.

– Mnie pozwoli – powiedziałam z pewnością i uśmiechnęłam się do niej, po czym ruszyłam przez opustoszały już

parking. Na pewno uzna, że lepiej nie mieć w watasze „skazzonego” wilka takiego jak ja.

– Zmienił nazwisko na Wolfe! – zawołała za mną. – To ego-maniak pożądamy kontroli i władzy nad wszystkimi.

Pomachałam jej i szłam dalej, z plecakiem na ramieniu i pieczeniem w piersi. Simone próbowała uchronić mnie przed popełnieniem wielkiego błędu, rozumiałam to, ale ona nie doświadczyła mojego losu. Czasami trudniejszy wybór wcale nie był taki trudny.

Ból w ciele znacząco zelżał, gdy zbliżyłam się do centrum miasta. Zmierzałam do swojej dorywczej pracy, jedynej spokojnej przystani i mojej drogi ucieczki stąd. Miasteczko Torma liczyło około dziesięciu tysięcy zmiennokształtnych i miało jedną tętniącą życiem główną ulicę, przy której właśnie mieściło się miejsce mojej pracy.

– Dzień dobry, kochanie! – zawołała Dannie z zaplecza, gdy weszłam do środka, a nad drzwiami zadzwonił dzwoneczek.

– Hej, Dan – odwróciłam się, wrzucając torbę do szuflady za ladą.

Dannie, podróżniczka, niedawno dołączyła do naszej watahy. Pojawiła się dziesięć lat temu, tuż po zabójstwie mojego ojca, i w jakiś sposób udało jej się dopisać do rejestru mieszkańców szybciej niż komukolwiek innemu w historii watahy. Nie miała tutaj rodziny, przynajmniej żadnej, o której by wspominała. Należała do niewielkiego grona osób nietraktujących mnie i mojej matki jak trędowatych.

– Och, kochanie, co ci się stało w pierś? – zapytała, wyłaniając się z pudłem w rękach i burzą jasnych, kręconych włosów zebranych na czubku głowy. Wiek Dannie był nie do określenia, wokół niebieskich oczu widniało tylko kilka

zmarszczek. Uważała się też za wróżbitkę i chociaż w to nie wierzyłam, często wiedziała rzeczy, o jakich wiedzieć nie powinna. Jak na przykład to, że pod ubraniem, w które się przebrałam, skrywałam rany na klatce piersiowej.

– Jaxson i Torin ustawiali mnie do pionu – powiedziałam, opierając się o ladę. – Nic mi nie jest, to tylko draśnięcie i już prawie nie boli.

Na chwilę jej oczy przestały być błękitne, stały się ciemno-purpurowe, w kolorze przypominającym eliksiry i zatopione w ciemnościach wody lagun.

– W swoim życiu podróżowałam po licznych krainach – rzekła. – Spotkałam więcej alf, niż mogłabym policzyć. Torin zajął wysokie miejsce na liście tych, których nie znoszę najbardziej, a to o czymś świadczy.

Odwróciłam głowę w stronę drzwi, by się upewnić, że żaden członek watahy nie wchodził akurat do środka. Dannie często wypowiadała podobne słowa, a w tej watasze tego rodzaju „zradę” surowo karano. Na szczęście, o ile mi wiadomo, nigdy nie została na niej przyłapana.

– Nie powinnaś tego mówić na głos – ostrzegłam, ponieważ zależało mi na bezpieczeństwie jej ekscentrycznego tyłka.

– Dziewczyno, nie boję się tego przerośniętego pchlarza. – Odstawiła pudełko i wzruszyła ramionami. – A ty powinnaś skorzystać z mojej propozycji pokazania mu, gdzie jego miejsce, kiedy następnym razem przegnie wobec ciebie albo twojej matki.

Z moich ust wydobył się nerwowy chichot. Nie zamierzałam kłócić się z tą pieprzoną, ale nieszkodliwą wariatką. Kochałam ją, bo w ostatnich latach była dla mnie bardziej matką niż moja własna. A praca u niej praktycznie uratowała mi życie.

– Pójdę poukładać nowe książki – powiedziałam, chwytając z lady stos tych już rozpakowanych.

Księgarnia Dannie była jedyną w mieście i na długo przed tym, jak się tu zatrudniłam, regularnie do niej zaglądałam. Książki od lat były moim wybawieniem. Ucieczką od zwyczajnego, a czasami naprawdę okropnego życia. I właśnie dlatego tak wkurzyło mnie poświęcenie kilku godzin na czytanie tej głupiej lektury z angielskiego. Moja dewiza: „Nigdy nie marnuj czasu na złe książki”. Istniało za dużo niesamowitych opowieści czekających na odkrycie.

Wchodząc między regały, głęboko zaciągnęłam się nadzwyczaj wyjątkowym zapachem charakteryzującym tylko książki. Starsze, w sekcji „używane”, pachniały inaczej niż nowe, o chemicznych nutach wyłapywanych przez mój nos zmiennokształtnej, ale i tak przepadałam za tymi wszystkimi aromatami. W zasadzie każde dobre wspomnienie, jakie powstało w ciągu ostatnich dziesięciu lat, wiązało się z tym miejscem czy z Dannie, a zwłaszcza z książkami.

– O, ta seria o wilkołakach autorstwa Leii Stone też już jest. – Usłyszałam przytłumiony przez dzielące nas regały głos Dannie. – Odłożyłam dla ciebie cały komplet.

– Kocham cię! – odkrzyknęłam, podekscytowana wizją kolejnego świata, w jakim się zanurzę. Uwielbiałam czytać historie o zmiennokształtnych, tworzone przez różnych autorów. Niektórzy odwzorowywali nas tak dobrze, że wiedziałam, iż muszą być zmiennokształtnymi, lecz ludzie też o nas pisali. Często z większą liczbą nieścisłości, ale i tak sięgałam po ich powieści. Dla mnie każda kraina fantasy, w której mogłam się zatracić, była idealna.

Reszta popołudnia minęła szybko i o osiemnastej Dannie przekreśliła tabliczkę na „Zamknięte”, po czym zamknęła drzwi

od wewnątrz na klucz. Na dworze wciąż było jasno, zima dopiero się zbliżała, ale jeszcze nie nadeszła. Włożyłam bluzę z kapturem, wsunęłam trzy książki do torby i zarzuciłam ją na ramię.

– Idziesz na spotkanie? – zapytała Dannie, grzebiąc w kasie i odliczając wypłatę dla mnie. Płaciła mi codziennie gotówką „na wszelki wypadek”. Nigdy nie powiedziała na wypadek czego, ale nie narzekałam. To był najlepszy i najłatwiejszy sposób, bym mogła odłożyć coś na czarną godzinę.

– Gdybym miała wybór, odpowiedź brzmiałaby „nie” – powiedziałam, a pierś ścisnęła mi się na myśl o znalezieniu się w tym samym miejscu, co tysiące nienawidzących mnie zmiennokształtnych. – Jeśli się nie pojawię, ludzie Victora wytropią mnie, spiorą na kwaśne jabłko i zaciągną tam siłą. Równie dobrze mogę uniknąć lania. – Nie zgadywałam. Wiedziałam to z doświadczenia.

Poklepała mnie po ramieniu, a jej energia rozeszła się mrowieniem po moim ciele. Takie małe wyładowania często się zdarzały, gdy Dannie mnie dotykała. Przyzwyczaiałam się już do tego i było w tym coś pocieszająco znajomego.

– Zmiana jest nieunikniona – powiedziała, przymykając oczy. – Twoja zmiana nadchodzi. Przygotuj się na nią.

Przełknęłam ślinę, zastanawiając się, czy znów robiła swoje czary-mary. Nie mówiłam jej o moich planach. Tylko Simone zdradziłam, że chciałabym wyjechać, ale czułam, że Dannie się tego domyślała, zawsze widziała za dużo.

– Do zobaczenia wieczorem – zawołała, gdy otworzyłam drzwi.

– Tak, do zobaczenia – odpowiedziałam, machając przez ramię.

Gdy wyszłam na ulicę, uderzył we mnie mocny podmuch wiatru i zdałam sobie sprawę, że zima zbliżała się większymi

krokami, niż się spodziewałam. Całkiem logiczny wniosek.
Przesilenie czaiło się tuż za rogiem, a wyczekiwałam tego
kurewstwa od miesięcy.

Zima w końcu nadchodziła.

Byłam gotowa.



– Musimy przygotować szczenięta na ich przemianę w przyszłym miesiącu – powiedział alfa Victor, a jego moc unieruchomiła nas tak, aby nikt nie uronił choćby słowa z całej przemowy.

Simone nie myliła się, nazywając go egomaniakiem, był nim do n-tej potęgi. Mój ojciec, jako jedyny w naszej historii, próbował go obalić, nie miałam jednak pojęcia, dlaczego zwrócił się przeciwko alfie i swojemu przyjacielowi. Ta zagadka nie dawała mi spać w nocy, zwłaszcza po szczególnie ciężkim dniu.

– Zdecydowaliśmy, że w trakcie tego przesilenia powędrujemy jeszcze dalej w głąb terenów watahy – kontynuował, brzmiąc na zadowolonego z siebie. Jak nakazywała tradycja, tylko alfa, beta i ich synowie będą z nami podczas inicjacji. Reszta watahy dołączy później i wtedy objawią się ewentualne nowe więzi partnerskie.

Nie przejmowałam się niczym z tego, co mówił, nawet tym, jak daleko będziemy podróżować po rozległych ziemiach kon-

trolowanych przez watahę Tormy. Dla mnie liczyła się wyłącznie jedna rzecz. Zdobycie kontroli nad moją wilczycą, by móc się stąd wreszcie zmyć.

– A teraz przejdźmy do spotkania z watahą Strigent – powiedział alfa, szybko zmieniając temat, jak to miał w zwyczaju. – Wpłynęły prośby o pełen udział od wszystkich samotnych wilków. Żywmy nadzieję, że objawi się kilka kolejnych prawdziwych partnerskich więzi.

Takie spotkania odbywały się parę razy w roku i były wielką sprawą. Z tego, co zaobserwowałam w swoim dwudziestodwuletnim życiu, w hierarchii potrzeb zmiennokształtnych dominowało znalezienie partnera. Nie dziwiłam się, sama chciałam mieć kogoś po swojej stronie. Kogoś, kto byłby towarzyszem idealnym i wspierał mnie bez względu na wszystko. Byłam sama i cholernie samotna przez prawie całe życie, ale nigdy nie na tyle zdesperowana, by pragnąć związać się z kimkolwiek z naszej watahy. Nie ma mowy, żebym przez jakiś zbieg okoliczności nagle poczuła pociąg do któregoś z tych dupków, którzy mnie dręczyli. *Prawda?* Los nie mógł być aż tak niesprawiedliwy.

– Dzisiejszej nocy odbędzie się ostatni wspólny bieg, zanim dołączą do nas nasze szczeniaki! – ryknął Victor, a jego blond włosy o miodowym odcieniu stanęły dęba, gdy jego wilk wyczuł nadchodzącą przemianę. – Połączmy się z naszymi wilkami!

Na ogromnym polu przed posiadłością alfy z sześćdziesięcioma sypialniami i równie wieloma łazienkami, gdzie się zebraliśmy, rozległy się okrzyki. Siedziba przywódcy, choć daleka od skromnej, i tak była niczym w porównaniu do tysięcy hektarów bezcennej ziemi, na których stała. Dzikiego i nieokiełzanego terenu, jaki wataha przemierzy dzisiejszej nocy podczas biegu.

Ci z nas, którzy byli za młodzi, musieli odejść teraz, zanim pojawią się wilki. Oczywiście widziałam już wcześniej przemianę człowieka w wilka, ale nigdy na masową skalę, podczas zgromadzenia takiego jak to.

Simone chwyciła moją dłoń, gdy alfa uniósł głowę i zawył do nieba, uwalniając nas spod swojej władzy.

– Spadajmy stąd – powiedziała. – Przyjechałam autem.

Pobiegłyśmy. Tak jak w szkole, tak i tu było najlepiej, abym zniknęła, zanim wilkami zawładną pierwotne instynkty.

– Jest tu twoja mama? – zapytała, kiedy pędziłyśmy ile sił w nogach w stronę pola, gdzie zaparkowała samochód. Okazała się na tyle przezorna, że postawiła go z boku, aby nikt nie mógł nas zablokować. To nie było nasze pierwsze spotkanie watahy i wiedziałyśmy, jak je przetrwać.

– Nie widziałam jej – odparłam krótko. – Ale i tak nie przyjeżdżaby podwózki od nas. Zostałaby raczej tam, przemieniając się z nimi, próbując wedrzeć się do serca kolejnego mężczyzny.

Mój ojciec był jej prawdziwym partnerem, ale miała to gdzieś. Jego śmierć – jego zdrada, jak to ujęła – zniszczyła nas wszystkich. I nawet to rozumiałam. Jedna część mnie nienawidziła go bardziej niż kogokolwiek innego. Druga jednak tęskniła za nim z intensywnością zapierającą dech w piersiach.

Gdy wślizgiwałam się do starego, czerwonego pickupa Simone, serce waliło mi jak szalone. Próbowałam uspokoić też przyspieszony, choć nie od biegu, oddech. To strach tak na mnie działał.

Kurwa. Ten strach mnie wyniszczał i nie po raz pierwszy zastanawiałam się, jak żyłoby się bez niego. Po prostu... wstawać każdego ranka i nie obawiać się pieprzonego dnia.

Kiedy próbowałam uspokoić rytm cholernego serca, po raz kolejny tego dnia dotarł do mnie fakt, że powinnam uciec już

lata temu. To, że tutaj tkwiłam, narażając się na codzienne dręczenie, było niewybaczalnym błędem, a wstyd za to, jak pozwoliłam zamienić się w ofiarę, odczuwałam aż na dnie duszy.

– Muszę wyjechać dzisiaj w nocy – zdecydowałam, a w moim tonie pobrzmiwała determinacja. – Dzisiejsza noc to moja najlepsza szansa. Będą biegali godzinami, a miasto opustoszeje.

Simone tak gwałtownie wcisnęła hamulec, że samochód zatrzymał się z piskiem opon.

– Żartujesz, kurwa?! – wrzasnęła niemal. – Dziewczyno, zostań ci miesiąc do przemiany. Nie możesz teraz odejść. Umrzesz bez alfy, który przeprowadziłby cię przez pierwszą transformację.

– Pozwoliłam im zamienić się w jęczącą sukę – wysyczałam przez zęby, gardło miałam tak ściśnięte, że ledwo zdołałam wydusić słowa, a z gniewu i zażenowania zacisnęłam pięści. – Od dekady żyję w strachu. Znosiłam najgorsze rzeczy, po których mam blizny na ciele i duszy. Dlaczego, kurwa, jestem tu tak długo? Z powodu irracjonalnej obawy, że mogę umrzeć podczas pierwszej przemiany? W tym momencie byłoby to błogosławieństwem.

Nie wspominając o tym, że odejście przed przemianą osłabiłoby moją więź z alfą i utrudniło mu namierzenie mnie. Gdy wypowiedziałam to na głos, moje nastawienie, aby *czekać z wyjazdem na pierwszą przemianę* zmieniło się i naraz wszystko nabrało większego sensu. Musiałam uciec dzisiaj. Tej nocy!

Simone milczała jak zaklęta, oczy miała szeroko otwarte i pełne łez. Przełknęła kilka razy, ale nie potrafiła się uspokoić. Wyciągnęłam rękę i ścisnęłam jej dłoń.

– Kocham cię. Nigdy nie przetrwałabym wszystkiego, co się spierdoliło w moim życiu, bez ciebie, ale muszę wyjechać. Muszę uciec teraz i nie oglądać się za siebie.

Nie protestowała dłużej, pokiwała głową kilka razy, a łzy spływały jej po policzkach.

– Dokąd... – odchrząknęła. – Dokąd pójdziesz?

Przez pierwszych kilka przemian będę stanowiła zagrożenie. Musiałam znaleźć bezpieczne, odludne miejsce z dużą przestrzenią do biegania.

– Nie wiem – przyznałam szczerze. – Ale wszędzie będzie lepiej niż tutaj.

– Nie wierzę, że się zegnamy. – Zakryła twarz dłońmi, z jej gardła dobył się szloch. – Jesteś moją najlepszą przyjaciółką od szczenińczych lat. Mera, pomyśl o tym, co porzucasz.

Kurwa. Jej słowa mnie totalnie rozwaliły.

– A co z Dannie? – zapytała, sięgając po ciężkie argumenty. – Nie chcesz się nawet z nią pożegnać? – Simone ewidentnie nie miała zamiaru pozwolić mi odejść bez walki, ale ja już byłam wyczerpana walką.

– Prześlę się z tym, dobrze? – powiedziałam, starając się brzmieć jak najbardziej pogodnie. – Może wytrzymam jeszcze miesiąc. W końcu to niewiele w skali całego życia.

– Tak. – Otarła oczy, pokiwała kilka razy głową. – Wytrzymasz jeszcze miesiąc. Zadbam o twoje bezpieczeństwo. Razem damy radę.

Wyciągnęłam ramiona i mocno ją uściskałam, wdychając znajomy zapach perfum, których Simone zawsze używała. Lawenda z kwiatów w jej ogródku i anyż z sekretnie uwielbianych przez nią czarnych landrynek. Będzie mi tego brakowało.

Kiedy skończyliśmy ten emocjonalny festiwal płaczu, Simone ponownie uruchomiła silnik i odwiozła mnie do domu.

– Do zobaczenia jutro – rzuciła, przyglądając mi się uważnie.

To nie było pytanie. Mówiła mi, że lepiej, abym jutro tu była, bo inaczej skopie mi tyłek.

– Jasne, kochana – potwierdziłam, zmuszając się do uśmiechu.

Spojrzałam ostatni raz na jej piękną twarz, okropny war-
kocz i prosto w jej życzliwe oczy. Zapragnęłam, by pewnego
dnia mieć wystarczająco sił, aby tu wrócić.

I by wybaczyła mi to, co planowałam zrobić.



POSŁOWIE

Hmmm. Mam nadzieję, że po takim zakończeniu nie rzucicie książką o ścianę. Wiem, zostawiam wam pewien niedosyt, ale nie martwcie się, planuję szybko wydać drugi tom, żebyście mnie nie ścigały i nie zamordowały.

A do tego czasu proszę: nie nienawidźcie mnie. Nie rzucajcie książką. Nie wzywajcie Lucyfera, aby mnie zniszczył... Albo zróbcie to, może być całkiem interesująco.

Szczerze mówiąc, liczę, że pokochałyście tę historię z odrobiną mroku i mnóstwem intryg. Zaczęło się od pojedynczego obrazu: demona trzymającego kobietę. Trudno było jednoznacznie określić intencję, ale dostrzegłam zaborczość, pełne cienia istoty i rodzaj epickiego romansu, który mógłby zniszczyć kilka światów.

I chociaż jesteśmy dopiero przy pierwszym tomie trylogii, już kocham moje postacie. Pragnę pławić się w ich ogniu i obserwować, jak rozwija się historia.

Tak czy inaczej, dziękuję, że przeczytałyście moją książkę, bardzo to doceniam. A kiedy na waszej ścieżce pojawi się demon, wyślijcie go do mnie. Poświęcę się za was wszystkie..

Odrzucona
Copyright © Jaymin Eve
Copyright © Wydawnictwo Inanna
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the translation by Marcin A. Dobkowski
Copyright © for the cover art by Łukasz Matuszek
Copyright © for the inside art by Anne Mathiasz |Adobe Stock
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Tytuł oryginału: Rejected
Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2024 r.

książka ISBN 978-83-7995-672-2
ebook ISBN 978-83-7995-673-9

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski
Tłumaczenie: Marcin A. Dobkowski
Redakcja: Joanna Błakita
Korekta: Paulina Kalinowska
Grafika na okładce: Łukasz Matuszek
Projekt i adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski
Projekt okładki: Ewelina Nawara
Skład i typografia: proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Kormoranów 126/31
85-432 Bydgoszcz
sekretariat@inanna.pl
www.inanna.pl

KSIĄŻKĘ I EBOOK NAJTANIEJ KUPISZ NA: WWW.INANNA.PL



Gorąca, nieprzewidywalna seria
mafijna, idealna dla fanek
niegrzecznych książek!

Czy w brutalnym świecie mafi jest
miejsce na miłość?

#GORĄCYROMANS #ROMANSMAFIJNY

To nie jest prosta romantyczna opowieść o namiętnej miłości nieśmiałej dziewczyny i gwiazdy rocka. Ta seria wciągnie cię od pierwszej strony!

#romansmuzyczny #romanswspółczesny





Szczęście nigdy było im pisane, więc
muszą o nie tym bardziej walczyć
z całych sił.

#GORĄCYROMANS #ROMANSMAFIJNY

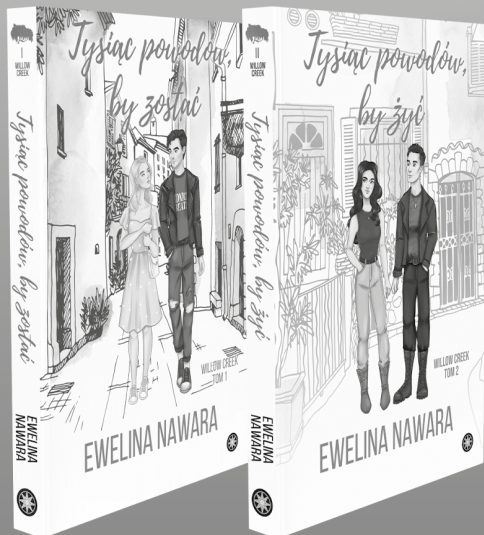


Wzruszająca seria, którą
musisz przeczytać

#GORĄCYROMANS #SERIA NIEPOKORNI

Pełna emocji, romantyczna seria
osadzona w małym miasteczku,
która wzruszy do łez i na długo
zostanie w pamięci!

#ROMANSWSPÓŁCZESNY
#ROMANSMAŁOMIASTECZKOWY



Romantyczna, zabawna, pikantna.

Seria, którą pokochały Polki!

#ROMANSWSPÓŁCZESNY #GORĄCYROMANS

